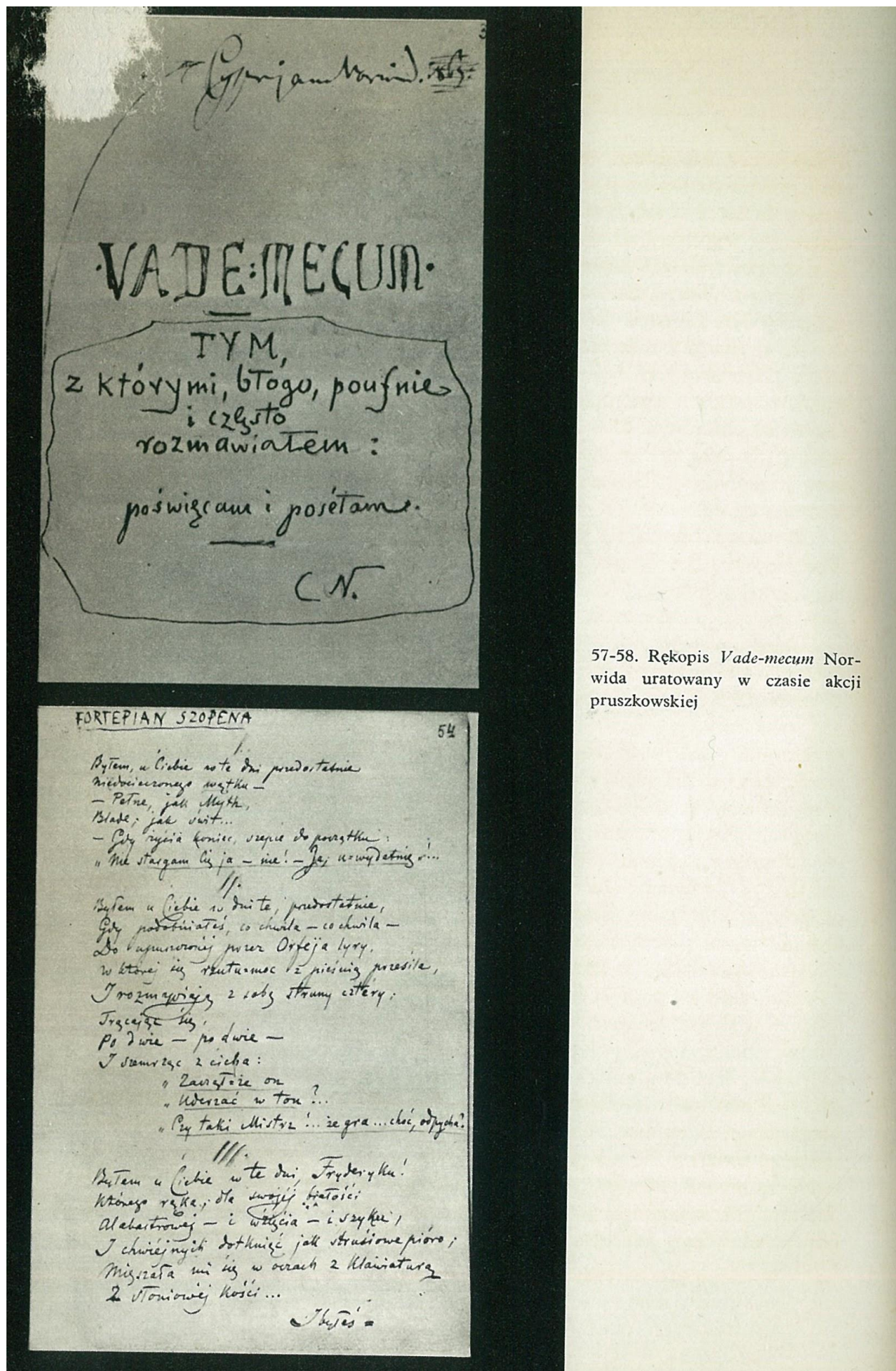


Tadeusz Makowiecki



57-58. Rękopis *Vade-mecum* Norwida uratowany w czasie akcji pruszkowskiej

W OBRONIE ZBIORÓW BIBLIOTECZNYCH

WSPOMNIENIE Z 1944 R.*

Na kotle lokomotywy do Żyrardowa (jazda zresztą wygodniejsza i bezpieczniejsza, niż się zdaje), potem na zatłoczonej lorze towarowej do Pruszkowa, stamtąd pieszo do Leśnej Podkowy (trzeba się przemykać, bo Niemcy brali do sypania okopów). W gościnnej willi dyr. Skotnickiego, obszernej, gdzie ile było pokoiów, tyle rodzin wygnańców z Warszawy — dowiedziałem się (bodaj od arch. Biegańskiego), że nazajutrz rano rusza pierwsza ekspedycja do Warszawy.

„Sztab” mieścił się w bliskiej willi inż. Mieszkowskiego, tam rano trzeba zająć do dyr. Lorentza (po zapadnięciu zmierzchu już chodzić nie wolno). Kawalerowie i ludzie chwilowo bez rodzin spali w rozległym hallu u pp. Skotnickich; tam też spałem i ja na dwu głębokich „clubach”. O 6 rano, gdy kończyła się godzina policyjna, już byłem w drodze. W campingowym domu Mieszkowskich po kilku schodkach wchodziło się na strych. Tam na lewo w pokoiku ze ściętym dachem sypiała matka Lorentza z wnuczkami, na podeście schodów za płócienną zasłoną — pani dyrektorowa, a na prawo w kuchence podstrysza na podłodze, na dwóch zsuniętych siennikach (z poduszkami pod stołem), spali: Lorentz i dwaj współtowarzysze. Co wieczór odbywały się tam najważniejsze narady. A że godzina policyjna była wczesna, więc kolejno: bibliotekarze, muzeolodzy, archiwiści, profesorowie itd. konferowali do późnej nocy, a potem spali w tejże kuchence. Owej nocy byli tam historycy sztuki: profesorowie Zachwatowicz i Walicki, ktoś jeszcze spał owinięty w koc na zakręcie schodów, gdzie stopnie rozszerzały się wygodniej. Po kilkunastu minutach gwałtownego ubierania się, mycia, po kilku urywanych zdaniach w przerwie między wciąganiem butów a szklanką herbaty byłem zorientowany i już bieглиśmy przez mroczny zagajnik do kolejki na przystanek.

W Pruszkowie była nas większa garść; sami znajomi, niewidziani od dawna, od — przed Powstaniem. Radość z widzenia się znowu w gromadzie, pytania,

skróty zdań, wiadomości niektóre pomyślne, ale najczęściej straszne, tragiczny wzrost listy strat: tego nie ma — tamtego nie ma. Na przemian podniecenie z opadaniem rąk, bezsilność. Nasz dawny dyrektor, prof. Batowski, łagodny i wykwinny badacz, chory na sklerozę, padł na ulicy gnany w konwoju, dr Śliwiński pędzony przed czołgami trafiony polską kulą w serce... Milczymy.

Po długim czekaniu przybyły dwa otwarte auta ciężarowe. Jedno bierze 12 bibliotekarzy. Jedziemy po raz pierwszy do zburzonej Warszawy, po raz pierwszy mamy zobaczyć nasze miasto, gdy już — nie istnieje.

Najpierw długi postój na szosie wolskiej przed budynkiem Räumungsstab. Dostajemy konwojenta z karabinem (bo Festung Warschau). Potem przejazd Wolską, Chłodną do Towarowej, Towarową do Alei Jerozolimskich, stamtąd przez Marszałkowską do Królewskiej i do Krakowskiego Przedmieścia (ta trasa jest przetorowana trochę).

Na całej z górą pięciokilometrowej, esowatej drodze przez Śródmieście wozami kilku długich ulic nie spalone i nie zburzone tylko trzy domy w Alejach, dwa na Marszałkowskiej i — gmach Zachęty. Auto jedzie wolno, by nie zarzucić, ścieżką krętą, oczyszczoną z gruzów, po wpół zasypanych wybojach od bomb, po dzwoniących potarganych drutach, przez wyłomy w barykadach powstańczych, pod pochylonymi latarniami, wymija leżące tramwaje, czołgi, rozbite bunkry. Pustka, ani żywego ducha. Na chybotliwej ciężarówce jedziemy sztywni, wyprostowani, uroczyści, trzymając się mocno za ręce. Nikt nie mówi ani słowa. Zajeżdżamy na dziedziniec Uniwersytetu.

Tu prawie nie znać wojny. Gmachy: porektorski, muzealny i medyczny, a przede wszystkim Biblioteka ze ścianą zrudziałego wina, zasłaniają ruiny reszty Uniwersytetu, jest niemal tak jak — kiedyś.

Wchodzimy do BUW. Stosy papierów, gazet, książek — nieraz do wysokości człowieka. W czytelnich, biurach stoły poprzewracane, szafy puste, w szerokich oknach strzelnice zbudowane z ciężkich, oprawnych tomów. Przechodzimy pośpiesznie przez żelazne kraty wszystkich siedmiu pięter magazynu. Razem w Bibliotece ze 20 000 książek i gazet rozrzuconych, porozpłaszczanych, podeptanych; reszta, czyli koło miliona — stoi nietknięta na swoich miejscach. Podniecenie radosne, powszechne jak wtedy ze spotkania się w gromadzie — swoich, znowu swoich. Ale już wsiadamy na auto. (Pierwszy dzień przeznaczony jest na orientację.) W połowie Ordynackiej ciężarówka staje, dalej trzeba iść piechotą w górę i w dół przez zwaliska kilku wielopiętrowych kamienic. Wreszcie Okólnik — Biblioteka Krasińskich.

Stajemy. Cisza. Wszystkie okna magazynu czarne i puste. (A wiemy, że Biblioteka przetrwała Powstanie.) Schodzimy (buty grzęzną w popiele) do ogromnych piwnic. Musiały być podpalane każda oddzielnie, systematycznie. A tu zgromadzono największe skarby: rękopisy, starodruki, rysunki, ryciny, nuty, mapy, Biblioteka Załuskich, zbiory Stanisława Augusta, reszta zbiorów raperswilekich, archiwa Krasińskich, cimelia z wszystkich bibliotek Warszawy. Nic. Nic. Z górą

100 000 pozycji rękopiśmiennych, nie wyzyskanych, nie drukowanych nigdy i już nigdy. Od iluminowanych złotem miniatur z XIV w. przez bezcenne *silva rerum* polskie do nieznanych listów Żeromskiego, Reymonta, Berenta. Nic. Znow ręce opadają bezwładnie, jak wtedy przy okrutnych meldunkach strat bliskich. Bezsilni wlecemy się ciemnymi korytarzami piwnicznych suterren: w najgłębszej, wielkiej kotłowni góra może stu skrzyń drewnianych — całkiem pustych (przygotowane do ewakuacji zbiorów). Ich jedynie Niemcy nie podpalili. Bo — po co? Stoimy oświetlając paru świeczkami sklepioną pieczarę. Wreszcie bierzemy puste skrzynie, po dwóch każdą (przydadzą się w innych bibliotekach), i powoli ruszamy. Potykając się na gruzach, przechodząc po górach cegły na wysokości I piętra, idziemy przez ulicę w milczeniu — kondukt niosący 10 długich, drewnianych skrzyń — pustych: nawet bez prochów.

Biblioteka Ordynacji Zamoyskich na Żabiej też spalona;

W Bibliotece palić nie pozwolono, dym na pierwszej linii frontu mógł dać cel artylerii radzieckiej, termosy zaś odbierano podczas rewizji przy wyjazdach; pozostawały więc bułki, kiełbasa i — wódka, ćwiartka na trzech. Uczni, dyrektorzy, artyści, literaci, wszyscy wtedy jedliśmy jak murarze przy robocie. A mróz zmieniał się wciąż z listopadową pluchą.

Na 7 trzeba było już być na skrzyżowaniu ulic i czekać — długo, nieraz bardzo długo. Z mrocznego sklepiku szliśmy grupkami w cudacznym doborze ubrań. Prof. Borowy, co chwilę zdejmujący mitynki z rąk, które mu siniały i sztywniały do połowy palców, z beretem na głowie i w futrzanej pelerynie, która niedawno przestała być damską, znakomity rzeźbiarz Karny w palcie letnim, ale w grubym baszłyku czy kapturze, prof. Grodek w kusej kurcie z plecakiem, inny w jasnym kurzowcu naciągniętym na jesionkę, dr Herbst z oczami chorymi, przewiązanymi na ukos białą chustą, J. Kossonoga z obwiązanymi zębami, dr Sienkiewicz i Walicki, obaj kulejący, z laską — wszyscy z podniesionymi kołnierzami, zgarbieni. Wyglądaliśmy na coś pośredniego między zbiegowiskiem zbankrutowanych poszukiwaczy złota na Alasce a resztką starej gwardii nad Berezyną.

A byli wśród nas uczeni, dyrektorzy największych instytucji kulturalnych, artyści, członkowie akademii krajowych i zagranicznych, notowani w almanachach, autorzy licznych dzieł. Tak na śniegu i deszczu czekaliśmy czasem godzinę, czasem — 3 godziny, aż wiecznie pijani szoferzy — Volksdeutsche — zajadą po nas otwartymi gruchotami, opalanymi drzewem.

Koło ruchliwego, chodzącego szybkim, drobnym krokiem, wiecznie ćmiącego papierosy dyr. Lorentza co chwila zmieniali się kierownicy różnych ekspedycji.

To elegancki z siwą bródką dyr. Stojanowski z Archiwum, to jego brodaty kolega „Hetman Czarniecki w jesionce” — surowo patrzący dyr. Witold Sucho-dolski, to blady i kwaśno uśmiechnięty dr Stebelski (wszyscy z Archiwum). Ci byli najspokojniejsi. Najruchliwsi muzeolodzy: rektor Antoniewicz, prof. Walicki, dr Sawicki, dr Sienkiewicz, dr Zachwatowicz, otoczeni zawsze rojem malarzy i rzeźbiarzy, z zawsze pogodnym, wysokim i barczystym magazynierem Muzeum p...³.

Z początku jeździły z nami i bibliotekarki: dr Gryczowa, M. Rutkowska, Wodzinowska, Stanisławska, oraz czytelniczka i przyjaciółka biblioteki dr Z. Niesiołowska-Rothert. Później Niemcy bezwzględnie zabronili: nie wolno przecież kobietom przebywać w twierdzy. Z bibliotekarzy, poza już wymienionymi, przewinęli się przez nasze szeregi, pracując po kilka dni: M. Toporowski, a z innych bibliotek dr Gutry, dr Mauersberger.

Oprócz fachowców, bibliotekarzy czy muzeologów, do każdej grupy wchodziła ochotnicy; ich zadaniem było wybrane przez specjalistów dzieła układać w skrzynie, wiązać w paczki, pakować w worki, numerować, zapisywać, zbierać, znosić, ładować na samochody i na wagony. Rekrutowali się z najróżniejszych grup, od stolarza Czaplickiego do młodego hrabiego Zamoyskiego (oba zresztą pracowali przy ratowaniu zbiorów muzealnych).

W grupie mojej, tj. bibliotekarskiej uniwersyteckiej, na trwałą pamięć zasłużyli: A. Karowski, ślusarz z warsztatów kolejowych w Pruszkowie (w grudniu, niestety, wypadł z auta naładowanego skrzyniami pod przyczepkę i ze złamanymi żebrami został przewieziony do szpitala), jego przyjaciel, właściciel przedsiębiorstwa ślusarskiego w Pruszkowie Wł. Kotniewicz, olbrzym, entuzjasta nauki i książki, dalej księgarz H. Hammer, pracownik Trzaski, Everta i Michalskiego (później właściciel księgarni na Krakowskim Przedmieściu), systematyczny, pracowity, oddany i praktyczny, wreszcie maturzysta z Pruszkowa, wesolek — J. Ostrowski, oraz dwaj urzędnicy Magistratu m. Warszawy: Mogilski i Kruszewski. Inni zmieniali się często. Głównie pociągała ich chęć wejścia do zamkniętej, niedostępnej Warszawy, zobaczenia swej ulicy, śladów swego mieszkania; nikt nie mógł uwierzyć, że już tylko gruzi zostały; inni chcieli po prostu przy okazji coś wyszabrować. Pamiętam jednego inżyniera, którego po trzech dniach musiałem zwolnić; zobaczyłem go już po rewizji niemieckiej (jak to zrobił, nie wiem), gdy pchał wózek dziecinny naładowany po brzegi emaliowanymi garnkami,

a z zewnątrz obwieszony galerią kolorowych sztychów angielskich. (Trzeba było być bardzo ostrożnym, bo Niemcy pod ładą pozorem mogli zawiesić naszą ewakuację.) Ci wszyscy pracownicy odpadali po tygodniu, 10 dniach: nic więcej poza kilometrami ruin widzieć nie mogli, także nic wynieść, nawet najautentyczniej własnych gratów. Przede wszystkim jednak praca była niebezpieczna. Nikt się zaudto nie kwapił. Bądź co bądź pracowaliśmy tylko w tzw. twierdzy, ale naprawdę na pierwszej linii frontu. Trzy razy auto nasze na szosie między Pruszkowem a Warszawą spotkało się z samolotami radzieckimi, raz zostało ostrzelane z niskiego lotu karabinami maszynowymi, na szczęście — bez rezultatu. Raz granat radziecki uderzył o parę kroków od pustego samochodu czekającego na nas przed Uniwersytetem i obrzucił go tylko odłamkami. Kiedyś jednakże, gdy tenże samochód jechał z nami Nowym Światem i zbliżył się do rogu Alei Jerozolimskich, gdzie mieli nas oczekiwać muzeolodzy — zobaczyliśmy na jezdni parę skulonych ciał. Na trzy minuty przed nami uderzył w grupę muzealną granat, zabił stolarza S.⁴, który robił dla Muzeum skrzynie, ranił pięciu pracowników (dr Morawiński, późniejszy kustosz Wilanowa, leczył się parę miesięcy w szpitalu).

Odtąd jeździł z nami młody chirurg z walizką opatrunków. Nie wiadomo co prawda, co i kiedy mógł pomóc, gdyż jeździliśmy przeważnie czterema samochodami ciężarowymi jednocześnie w cztery końce Warszawy, a on jeździł tylko na jednym. Ale wyjazdy przybrały bardziej charakter oficjalnych wypraw na front.

Najcięższym koszmarem wyjazdów (poza Niemcami, o których później) była pogoda. Listopad, grudzień i połowa stycznia najpierw deszcz ze śniegiem, a potem śnieg i mróz, codzienny przejazd otwartą ciężarówką co najmniej dwie godziny, a przeważnie, z postojami, trzy albo cztery rano i drugie tyle wieczorem, razem zawsze było sześć godzin na zimnie i słońcu, śniegu, wichurze i co ważniejsze — bez ruchu na platformie auta. A była to tylko podróż; w tych lodowatych ramach przejazdu mieściła się praca w zimnych, ogromnych gmachach, bez szyb, w mrozy trzaskające, gdy przeciągi wyrywały nam papiery z rąk; bez szklanki gorącego płynu przez cały dzień. I tak przez dwa i pół miesiąca.

Ale to już należy do rozdziału „Praca”.

III

Pracą w każdej instytucji kierował — ze strony polskiej — pracownik o najwyższej „szarzy” urzędowej w ostatnim roku. Tak więc Muzeum „zabezpieczał” dyr. Lorentz, a gdy on — co się często zdarzało — musiał załatwiać sprawy wszystkich zabytków kultury w Warszawie, kustosze: prof. Walicki czy dr Sienkiewicz. Nad bibliotekami wszystkimi stał dyr. Grycz, on też kierował pracami w Bibliotece Narodowej, a jako jego zastępca dyr. Łodyński, w Bibliotece Uni-

⁴ W maszynopisie pełnego nazwiska brak.

wersyteckiej — ja, a w zastępstwie w pierwszym okresie dr Herbst, w drugim — dr Korzeniewski.

Do obowiązków kierowników należało rano: ustalić liczbę i skład codziennej ekipy, która była zmienna zależnie od zadań tego dnia, wystarać się o przepustkę dla całej grupy na wjazd i wyjazd z twierdzy, o „Begleitera” spośród dyżurujących żandarmów, omawiać wszystkie sprawy z Niemcami kierującymi ewakuacją, a dalej rozstawić ludzi, przydzielić każdemu pracę i kontrolować wszystkich, co zwłaszcza w naszej Bibliotece nie należało do lekkich zajęć, gdyż praca odbywała się na siedmiu piętrach magazynu i na schodach. Wyglądało to z grubsza tak: na jednym piętrze prof. Borowy, na drugim Herbst, na innym J. Kossonoga szli od półki do półki, od szafy do szafy, z korytarza do korytarza i ze ściany książek wydobywali po dwa, po trzy woluminy z półki i odkładali na różne stosy. Na jeden szły książki rzadkie, przeważnie stare, ważne jako dokument kultury, pierwsze wydania, książki cenne nie tylko ze względu na autora czy temat, ale i miejsce wydania, i rok wydania, i czasem oprawę z epoki albo ilustratora (przy czym z tej grupy książki szczególnie cenne były jeszcze wyodrębniane np. pierwsze wydanie *Pana Tadeusza*, druki z XVI w. itp.). Na inny stos szły monografie, książki naukowe, nowe (z XX w.), ważne obecnie, krytyczne wydania tekstów, czasopisma naukowe itp. Dwaj dniówkarze obchodzili piętra, zbierali owe grupki książek i składali w większe stosy, które inni pracownicy bądź składali w skrzynie, bądź mniej cenne wiązali w paczki i układali w papierowe worki, bądź wreszcie składali „koło windy” (o tym później), inni, samodzielniejsi, pakowali roczniki czasopism według podanych im tytułów, ekipa tragarzy wreszcie (pod kierunkiem Hammera) zносиła wszystko do hallu, numerowała worki, obliczała. Co dwie godziny — sygnał, wszyscy schodzili na dół do ładowania aut ciężarowych i wysyłania transportu na dworzec. Ciągłe obchodzenie „punktów” na wszystkich piętrach, przesyłanie pomocy na miejsca za wolno pracujące, spisywanie protokółów, uganianie się z Niemcami — to należało do mnie.

Duchem właściwej pracy w Bibliotece był przede wszystkim prof. Borowy, a dalej Herbst i Korzeniewski. Wieloletni kustosz Biblioteki, jej dyrektor przed wojną, przed nominacją na profesora — Wacław Borowy znał Bibliotekę naszą do dna i znał też wartość książek, miejsce każdej w hierarchii kultury. Bo z tysiąca różnych dzieł można było wybrać i dać szansę ocalenia trzem czy pięciu. Resztę przeznaczało się na zagładę. Trzeba to dobrze pojąć — to napięcie wewnętrzne, gdy każdy z nas musiał ratować 50 lub 100 tysięcy, ale też musiał skazać milion na spalenie; od jego tylko decyzji zależało, co może ocaleć, ale i co najpierw zginie. To biorę — ale dlaczego tamto ma zostać zniszczone? A wiemy przecież, że nie ma Biblioteki Raperswilskiej, Krasińskich, Przeździeckich, Zamoy-skich, nie wiemy nic, co z Ossolineum we Lwowie i Wróblewskich w Wilnie, wiemy, że nawet Bibliotekę Polską w Paryżu Niemcy wywieźli i zniszczyli, wiemy, że niszczy się systematycznie wszystko co polskie. Może ta właśnie książka jest jedyna dziś? Nie tylko tomik wierszy z XVII w., ale broszurka: *I sprawoz-*

danie Dyrekcji Kolei Wiedeńskiej (wiadomo, czym była ta kolej w dziejach gospodarczych Królestwa), ale jakiś zbiór afiszów znanego teatru, spalonego dziś, nie istniejącego. Resztki śladów wielkich kiedyś wysiłków, prac, osiągnięć. Resztki, cienie śladów istnienia jakichś ludzi, jakiegoś życia, jakichś ideałów, walk, dążeń całego narodu. Pokolenia zbieraczy, bibliotekarzy, mecenasów, naukowców gromadziły pieczołowicie i strzegły tych dóbr przez stulecia, a my mamy 90% zbiorów przeznaczyć na zniszczenie, my — bibliotekarze! Ciężar odpowiedzialności za wybór książek dochodził do ciężaru mrozu, wojny, goryczy, głodu — przygniatał ciągle. A namyslać się, wahać się nie można, każda sekunda jest ważna; trzeba się decydować momentalnie i bez niczyjej rady. A tu jednego dnia wstrzymują nasz wjazd do miasta. Może to koniec naszych prac? Może to wjeżdżaliśmy już ostatni raz? Nie. Tego dnia wysadzono w powietrze i zniwelowano Dworzec Główny. W parę dni później znikł z powierzchni ziemi pałac Ossolińskich-Brühlowski, sława baroku w Polsce, nazajutrz pałac Saski gruzami swymi zasypał grób Nieznanego Żołnierza. Co dzień przy wjazdach widzieliśmy gdzieś nad miastem ciemny tuman dymu, palono resztki Warszawy, by nawet śladu nie było, *ubi Troia fuit*.

Nerwowy, ale skupiony — choć gorączkowy — pośpiech był jedyną naszą bronią. Widzę Borowego w wąskim korytarzu w kusym futerku, w berecie francuskim, jak sztywny od zimna i uwagi wybiera ze ściany książki tomiki; za nim młody dniówkarz trzyma w ręku świeczkę, osłaniając od wiatru, a potem widzę, jak profesor klęczy albo leży na brzuchu na wycieraczce słomianej (która ma niby izolować od zimna żelaznej podłogi magazynu) i wydłubuje tomy z najniższych półek. Co pewien czas wstaje i rozciera palce — sine i sztywne, nie z mrozu (choć w magazynie jest często poniżej 10 stopni zimna) — ale z wady serca: ma fatalne nadciśnienie (220), złe krążenie krwi. Powinien być w sanatorium, otoczony opieką, by pisać w spokoju swe eseje, subtelne tomiki stojące na szczytowej wysokości europejskiego kunsztu pisarskiego i wiedzy niezwyklej, zebranej po wielkich bibliotekach Europy. Mógłby choćby siedzieć w swej skromnej wilce w Zalesiu otoczony setkami kartotek, wycinków, tysiącami tomów swej biblioteki, pudłami i szufladami notat i w tej zapadłej dziurze opracowywać materiały zbierane po wielkich bibliotekach Europy. Tymczasem co dzień po czternaście godzin dzień nie marznie, tłucze się autem, nie dosypia i głoduje przez trzy miesiące surowej zimy. Nawet na śniadanie nie schodzi na dół do piwnicy, gdzie przynajmniej okno jest, ale przekąsza podczas pracy. Każda minuta to książka ocalona. Nie pozwolił się odrywać, aż któregoś dnia, gdy nie kierowałem wyjazdem i wyjechałem na trzy dni do Skierniewic, zapomnieli o nim i odjechali z Warszawy, tak że został sam na całą noc. Przestraszoną ekspedycję przywitał nazajutrz swym złośliwie miłym uśmieszkiem, stojąc przy stercie książek odłożonych. Podobny w żarliwej nieustępliwości był Herbst z okiem przewiązanym chustką, z drugim czerwonym, zawsze chętny, obrotny, pierwszy, oraz Korzeniewski, który płasko kołyszącym chodem chomika ostrożnie a żarłocznie wgryzał się w ciemne ko-

rytarze niższych pięt, uważny, ostry, zaciekły. Zimna, przebiegła zaciekłość była obok pośpiechu drugą naszą bronią.

Ja — poza łączeniem w całość różnych typów prac w naszej Bibliotece — miałem „mój” dział zaciekłości. Była nią wielka biblioteka podręczna. Kiedy wyobrażałem sobie dalszy przebieg wojny — widziałem *gros* biblioteki spalone, wybrane cimelia wywiezione gdzieś w głąb Rzeszy, skąd trzeba je będzie rewindykować przez paragrafy traktatów pokojowych, co może trwać długo, a na miejscu Uniwersytet — bez książek. Postanowiłem więc (i uzgodniłem z dyr. Gryczem) na miejscu ukryć i zabezpieczyć księgozbiór, który by mógł obsłużyć choćby pierwsze dwa lata studiów uniwersyteckich normalnych na wszystkich wydziałach. Pod piwnicami naszego gmachu było jakby drugie piętro podziemne, wielki, ciemny sklepiony loch. Tam zwalono poprzednio całą naszą bibliotekę podręczną (z górą 10 000 tomów wielkich), a do niej dołączałem wydawnictwa encyklopedyczne wszystkich specjalności, nowe monografie naukowe, atlasy geograficzne, botaniczne, medyczne, podręczniki uniwersyteckie polskie i obce, naukowe wydania najważniejszych tekstów historycznych i literackich, wreszcie główne czasopisma naukowe — wszystko po r. 1900, wydania już XX w. To, co było zabytkiem kultury, wędrowało na zachód w skrzyniach czy worach, to, co było najniezbędniejszym narzędziem współczesnej nauki, szło pod ziemię. Ale tę robotę podziemną trzeba było robić podziemnie. Żaden z niemieckich nadzorców nie zgodziłby się na „marnowanie” pracy paru ludzi dziennie, pracy nie zmierzającej do wywózki. Robota była tak zorganizowana (pracowali tam tylko najpewniejsi pod kierunkiem Kotniewicza), że kilku robotników schodzących w dół do lochu z piramidami książek na dany sygnał (gdy zauważono w pobliżu któregoś z Niemców) zawracało na miejscu i z tymi książkami wychodziło spokojnie na górę. Na zapytanie co niosą, odpowiadali, że bibliotekę podręczną złożoną kiedyś w piwnicy wynoszą i składają w hallu, aby ją wywieźć. Po chwili zawracali i nieśli znów do lochu. Ta zabawa trwała już koło miesiąca, gdy któregoś dnia (właśnie gdy wyjechałem na te trzy dni do Skierniewic) dyr. Abb wpadł przed sygnałem na kolejkę, sprawa wyszła na jaw, wpadł we wściekłość, kłął, żelazną sztabą założył schody do lochu i zakazał najsurowiej robót nieprogramowych pod rygorem prawa wojennego.

Nazajutrz po powrocie postanowiłem od rana wyjaśnić sprawę. Tak, to ja kazałem ludziom znosić. Chcę nie tylko starym polskim książkom, ale i nowym najcenniejszym dać szansę ocalenia. Nie obciążałem przecież nimi transportów ani wagonów. Czas? Wybieranie tych książek jest tylko *Nebenprodukt* właściwej pracy. Ludzie? Pracują tylko trzej. Zresztą — stawałem się coraz bardziej oschły — od jutra mogę przywozić o dwóch ludzi więcej. I tak przecież wszyscy pracują bezpłatnie, na ochotnika. Abb zrozumiał, że skoro rząd niemiecki nic nie płaci, nie ma rygorów i praw. Roześmiał się i uderzył mnie serdecznie po ramieniu:

— *Menschenkind* — przecież pan, który chce ocalić te książki, właśnie je najbardziej naraża. Przecież gdy walka rozpali się tu — wskazał na Bibliotekę —

na froncie nad Wisłą, żołnierze powyrzucają stamtąd wszystko na stos na podwórzu, by zrobić sobie schron.

— I na to jest rada — można wejście do lochu zamurować.

Tu Abb zrobił się oschły, sztywny, spojrzał na mnie ostro:

— *Herr Doktor* (przystałem być *Menschenkind*), czy pan chce naszych żołnierzy na tym odcinku frontu pozbawić najbezpieczniejszego schronu?

Zrozumiałem, sprawa była przegrana.

— Nie znam się na tym, nie jestem wojskowym.

Rozmowa była skończona.

Oczywiście, znoszenia do podziemi nie zaniechałem. Ale trzeba było zmienić taktykę; nie można było łamać kategorycznego zakazu wydanego bądź co bądź na froncie przez nominalnego zwierzchnika i wysokiego dygnitarza partii. Umówiłem się więc z niezawodnym Lorentzem. Co drugi dzień na godzinę przed wyjazdem naszej grupy z Uniwersytetu przyjeżdżał małym samochodzikiem. Jako szef — z polskiej strony — wszystkich grup ewakuujących mienie kulturalne z Warszawy i Bindungsmann ze sztabem i dowództwem twierdzy miał przydzielony do swej dyspozycji mały samochód, którym objeżdżał wszystkie punkty pracy rozsiane po Warszawie, dworce towarowe, komendy niemieckie itp., a jednocześnie tymże autem wywoził w swej wielkiej teczce najcenniejsze dokumenty, rękopisy, materiały, które później z Milanówka przewiezie do klasztoru na Jasnej Górze.

Nasi dyrektorzy, Niemcy, choć opici gorącą kawą czy *Glühweinem* z termosów, woleli, oczywiście, o godzinę wcześniej wyjechać osobowym autem niż trząść się koło szofera w ciężarówce — dwie godziny; korzystali więc zawsze z okazji. A my co drugi dzień mieliśmy godzinę czasu, by książki zawczasu przygotowane i złożone na stosy (koło windy magazynowej) znieść szybko w dół (robili to zawsze ci sami najzaufańsi ludzie, którzy by się nie wygadali), gdzie olbrzymi Kotniewicz wmurowywał szczelnie tom po tomie w ścianę książek. Żaden znawca na oko nie spostrzegłby, że co drugi dzień mur książek o pół metra zbliża się powoli do wejścia.

Tak przeciętnie wyglądał nasz dzień pracy.

Ale nie na tym się kończył. Najgorsze zwykle czekało nas dopiero.

IV

Co dzień — ponieważ do 3 trzeba było bezwzględnie wyjechać z Festung Warschau — auta wszystkich ekspedycji wyjeżdżały z miasta. Ekspedycji było wiele, bo choć aut ratujących mienie kulturalne było cztery, czasem pięć, dziesiątki, a nawet setki innych koncesjonowanych biur niemieckich wywoziły dosłownie wszystko z Warszawy. Jedne wywoziły meble biurowe, inne meble domowe, szły pełne samochody ubrań, kołder, łóżek, ba, wywożono węgiel, druty telefo-

niczne, arkusze blachy, wykopywano kable spod ulic, rozkręcone rury kanalizacyjne, motory, kafle z pieców. Węże samochodów pełzły do Räumungsstab na szosie wolskiej. Tam schodzili wszyscy z wozów, ustawiali się w dwu- czasem czwórszeregi i wolno, noga za nogą, zbliżali się do miejsca na ulicy, gdzie kilku żandarmów przeprowadzało rewizję. Rozpinali palta, marynarki, kamizelki, obmacywali spodnie, wywracali kieszenie. Szukali złota, skór, ale zabierali wszystko. Jednemu staremu nauczycielowi, który nam z początku pomagał, zabrali pled, jakim się okrywał na jesionkę, innemu termos, innemu jeden z dwóch swetrów. Ba, kiedyś dr Herbstowi, choremu na katar spojówek, zabrano z kieszeni dwie chustki od nosa (trzecią zostawili), a mnie wyjęto trzy kolorowe ołówki (do robienia notat na skrzyniach i workach) zostawiając jeden zwykły.

Z twierdzy nie wolno nic wynosić prywatnie, tylko urzędowo. Ale te codzienne rewizje odbywaliśmy przez pół machinalnie, choć te tak bliskie kontakty z łapami żandarmów nie należały do przyjemności. Ale bywały i niecodzienne urozmaicenia. Raz stolarzowi, który jeździł z grupą muzealną i zbijał skrzynie do obrazów, odebrano narzędzia stolarskie. Oczywiście biedny człowiek wystąpił w obronie swego przenośnego warsztatu pracy, pokazywał plecak, w którym co dzień je woził, ale za każdym razem, gdy twierdził: „przecież to moje”, dostawał pięścią w zęby. Gdy kierownik Muzeum prof. Walicki podszedł i zaczął tłumaczyć, że wszyscy mogą zaświadczyć o prawdzie, żandarmi zamierzili się na niego kolbą i odpędzili od nieszczęśnika, którego bili, aż przyznał się, że to nie jego. W dziesięć minut później, po rewizji naszej grupy, gdyśmy wsiadali na auta, któryś z żandarmów przechodząc „podrzucił” mu jego worek z narzędziami. Ale „oficjalnie”, przy świadkach, a najważniejsze przy komendancie — bito go bez litości. Komendant „wachy”, kapitan, był nieprzytomnym sadystą.

Któregoś dnia podchodząc do rewizji czujemy podniecenie na ulicy. Kiedy przychodzi moja kolej, gdy żandarm bobruje mi w kieszeniach i pyta machinalnie:

— *Kein Gold, Silber?*

Mówię mu z uśmiechem:

— Mam tylko włosy — trochę srebrne.

I nagle widzę od dołu, od poziomu moich kieszeni, jego oczy rozszerzone zdumieniem i — przerażeniem. Przemyka je i szepcze cicho:

— *Heute kein Spass, kein Spass!*

I dalej gwałtownie a machinalnie przetrząsa. A ja spostrzegam wtedy ze zdumieniem jeszcze większym, że ten żandarm, który mnie rewiduje, boi się, boi się nieporównanie więcej ode mnie w tej chwili. Kiedy mnie puścił, spostrzegam jego „Hauptmanna”. Stał o parę kroków za linią żandarmów, na wpółzgiętych nogach, pochylony naprzód, jakby do skoku, i ciarkami zmrużonych oczu biegał po rękach rewidujących żandarmów, czatując na ofiarę.

W pewnej chwili, gdy go mijałem, usłyszałem jakby ciche warknięcie; na ten głos żandarm, który mnie przed chwilą rewidował, odwrócił się i podszedł do swego dowódcy. Ten, nie spuszczaając oczu z rewidujących, nie podnosząc głosu,

skinął palcem w stronę jezdni. Gdy przechodziłem spokojnie do grupy już zrewidowanych i oczekujących na swój samochód, jednocześnie patrzyłem, jak „mój” żandarm zbliża się do młodego człowieka w skórzanej kurtce, bez czapki, opartego o samochód, jak bierze go spokojnie pod ramię, mówi: *Komm mit* — i steruje przez naszą grupę w stronę gmachu. Nagle widzę, jak łagodnym ruchem żandarm wyciąga rewolwer, przykładając go do tyłu czaszki, suchy trzask, krew tryska z oka, człowiek bez jęku opada na ziemię jak tobół z ubraniem, żandarm zapina starannie rewolwer za biodra, wraca do roboty, do rewizji. Nikt z żandarmów nie odwrócił się, nie przerwał roboty; żadnego wyroku, słowa, nawet nie odciągnięto trupa na bok z trotuaru, spośród nas; każdy z przybywających po rewizji musiał przestępować ciało. Był to Volksdeutsch, szofer samochodu, który jechał przed nami; przy motorze pod maską przewoził rulon skóry do butów.

Tak kończyła się ohyda dnia, ale nie trosk. Rzadko auto dowoziło nas do Pruszkowa. Wiecznie źli i śpieszący się do interesów szoferzy — Niemcy lub Volksdeutsche — wysadzali nas często po drodze za Włochami lub koło Tworek i idź teraz, człowiecze, 5—8—10 kilometrów w ciemności, szosą po śniegu czy w deszcz, a spiesz się, bo o szóstej godzina policyjna; coś trzy razy zdarzyło się, że przybyliśmy do Pruszkowa już po zamknięciu sklepów. Po pracy, bez kropli gorącego jadła cały dzień — trzeba było kłaść się w Magistracie na sienniki, żując tylko suchy chleb. Zasypialiśmy zziębnięci, przemoczeni, nieraz w stanach podgorączkowych; zwłaszcza wątpliwy dyr. Grycz nie mógł się wydostać z bronchitu, a nie opuszczał prawie żadnej podróży. Bardziej oszczędzał się dyr. Łysakowski, ale jego temperatura częściej dochodziła do 38°. Przykryty paltem oczekiwał naszych powrotów. Zaczynały się opowiadania, a potem sprawozdania szczegółowe, ile skrzyń od jakiego do jakiego numeru i z jakim materiałem załadowano do jakiego numeru wagonu ewakuacyjnego. Przygotowywaliśmy na piśmie (a trzeba to było robić więcej niż ostrożnie) konkretny materiał do naszych żądań na konferencję pokojową po wojnie, po klęsce tej armii, która w naszych oczach w triumfie zwycięzców Powstania paliła obok i wyniszczała resztki Warszawy, grabiła i wywoziła wszystko, rewidowała, rozstrzeliwała.

Dni „gwiazdkowe” r. 1944 miały odmienny bieg niż codzienne nasze roboty, acz nie z gwiazdkowych względów. Już po 15 grudnia widzieliśmy, że „Niemcy biblioteczni” wyjadą lada dzień na święta, że więc „może” będziemy mieli parę dni bez nadzoru na dokończenie prac w lochu pod Biblioteką. Niezależnie więc od składania tam co dzień książek ukradkiem, korzystając z każdej pół godziny, zaczęliśmy gromadzić sterty woluminów koło windy — na później. Tymczasem mróz brał coraz cięższy, ludzi-ochotników stawało co dzień mniej, a Niemcy — nie wyjeżdżali. Dopiero 21 zostaliśmy sami. Drżeliśmy co prawda, czy pozwolą nam bez nadzoru fachowego — choć oczywiście ze stałym nadzorem wojskowym — pracować dalej, ale jakoś w sztabie twierdzy nie orientowano się i nie wstrzymano ewakuacji. Mieliśmy trzy dni. Cały dzień (było nas rozstawionych na piwnicznych schodach ośmiu) szły książki i pisma kolejką do schronu, gdzie Kotniewicz przy świeczce kładł tom przy tomie jak cegła przy cegle, żeby nie zmarnować ani cala miejsca. Ściana książek co parę godzin przysuwała się o pół metra do drzwi. Cały dzień, potem noc niepokoju i znów dzień wysiłonej pracy bez chwili odetchnienia, gdy jak maszyny, bez myśli, chodziliśmy w kółko po paru schodach, by odebrać naręcz książek z góry i podać następnemu niżej. W przerwie tylko przy świeczce sprawdzaliśmy zegarki: jeszcze mamy trzy godziny pracy, jeszcze dwie — wreszcie ściana o drugiej staje o pół metra od drzwi. (Było nas siedmiu, razem z Bohdanem K. i mną.) Na dzień następny, ostatni przed świętami, zostaje nam półtorej godziny czasu na wypełnienie lochu i sprawa najważniejsza a zarazem najtrudniejsza — zamurowanie otworu drzwiowego. Kotniewicz na dzień następny zamówił swego znajomego murarza z Pruszkowa („komunista” — powiada o nim), dwa woreczki cementu, kielnię i inne przybory. Wyjeżdżamy z miasta podnieceni, jak nazajutrz te skomplikowane roboty dadzą się zrobić pod okiem Niemców w środku twierdzy na pierwszej linii frontu.

W nocy koło drugiej i Bohdan, i ja (śpimy w jednym pokoju) siadamy na łózkach nasłuchując. Od strony Bieleń, Cytadeli dochodzi huk coraz gwałtowniejszy, tętniący, podziemny; podchodzimy boso do szyb: reflektory błazną po niebie, na północy mrok nieba drży, rozświeca się, znów świeci, przygasa. Przez dwa miesiące był spokój; najwyżej co godzina lub dwie padało gdzieś kilka granatów, czasem domy się wstrząsały od strzałów olbrzymiego działu kolejowego bijącego spod Pruszkowa na Pragę — i znów absolutna cisza. Tymczasem teraz kanonada się wzmacnia, przetacza bardziej na wschód w stronę Wawra, Wilanowa, znów wraca, narasta. Biją dziesiątki baterii. Siedzimy na łózkach klnąc jak tragarze: tyle roboty, a teraz wobec ofensywy żołnierze oczywiście wywalą książki albo podpalą i koniec. Bezsilność aż dławi. Koło piątej zaczyna przycichać, ale nie kładziemy się już, zaraz po szóstej wychodzimy, jest biało od śniegu i mróz z 20 stopni. Na froncie cisza. O siódmej już po śniadaniu jesteśmy na placu zbiórki. Tam, gdzie zazwyczaj roilo się z górą 80 mężczyzn, dziś nie ma więcej niż 15. Straszny mróz i nocna kanonada wzdłuż frontu odgoniły najzacieklejszych. Rozumiemy bowiem dobrze, że w razie zaczęcia ofensywy wszyscy cywilni robotnicy zastani w twierdzy zostaną tam do kopania dołów, grzebania trupów, noszenia amunicji. Ryzyko wyjazdu wielkie — ale trudno. Nas jest pięciu: Bohdan Korzeniewski, ja, Kotniewicz, murarz z Pruszkowa i (zdaje się) Mogiński. Czekamy do ósmej, do dziewiątej, biegamy po mrozie dla rozgrzewki — auto nie przychodzi. Może wobec rozpalającej się ofensywy wstrzymano wjazd do miasta, może szoferzy stchórzyli, może już święta — przecież to 23 grudzień. Decydujemy się wszyscy pięciu iść pieszo 17 kilometrów do Warszawy; rozsypujemy cement do trzech worków, dwaj pozostali poniosą narzędzia. Tymczasem nareszcie zajeżdża ciężarówka, ale jedna jedyna na 5 ekspedycji. Klócimy się wszyscy: archiwiści, muzeolodzy, bibliotekarze; dziś pewnie ostatni transport, co się da dzisiaj wywieźć jeszcze — ocaleje. Padają argumenty. Wszyscy chcą jechać, wszyscy — muszą. Największe prawa ma Biblioteka Narodowa, która dwa dni ostatnie nie jeździła, ma transport gotowy i musi skończyć przed świętami. Na nią też pada decyzja. Zrozpaczeni zapowiadamy, że ruszamy piechotą. Widząc naszą determinację — Narodowa godzi się nas zabrać, podwieźć i wstąpić z powrotem, byleśmy się postarali o konwojenta, z czym coraz trudniej (wobec świąt). Jedziemy.

O dziesiątej jesteśmy w BUW, mamy niecałe cztery godziny na pracę. Tymczasem nowy „Begleiter” jest nadto ciekawy, nie siedzi w ciepłej suterynie woźnych, ale włóczy się z nami po piętach, zagląda wszędzie. Pozwolenie nasze brzmi wyraźnie: ewakuowanie zbiorów z Warszawy; murować przy świadku — niepodobna. Wtedy Korzeniewski zaczyna z nim rozmowę o szabrze (ten temat nigdy nie zawodzi). Niemiec jest dopiero od tygodnia w Warszawie, chciałby zdobyć żyrandol do stołówki kompanii. Bohdan opowiada, że zna jeden, bardzo piękny, trochę daleko; Niemcowi oczy się błyszczą, chce zdobyć pochwałę komendanta. Bohdan mruga na nas, podnoszą kołnierze i ruszają. Przez ten czas

skończyliśmy z książkami. Teraz prędzej, prędzej. Pod spalonym archiwum cegieł stos, znosimy po kilka, ciężkie, prędzej, prędzej, zrzucamy palta (mróz 20 stopni). Gdy znosimy cegły po schodach półtora piętra do lochu, zrzucamy marynarki, dźwigamy w kamizelkach, rozgrzani; prędzej, prędzej!

Nagle nowa przeszkoda. Wody nie ma przecież w całej Warszawie, wiedzieliśmy o tym, ale liczyliśmy na źródło przy Karowej, bez konwojenta jednak spacer po ulicy to kula w łeb. Na szczęście jest śnieg. Zgarniamy go w stare wiadra, trochę lodu łamiemy, co stoi pod rynną. Ktoś prędko, prędko łamie stare krzesło na szczapy, rzuca w żelazny piecyk w suterynie Włodarskich, w dziesięć minut potem z triumfem wiadro czarnej, mętnej wody stawiamy przed murarzem, który celebrytuje robotę. My reszta patrzymy mu w oczy, biegamy na każde skinienie. Prędzej, prędzej, prędzej.

Tylko zegarek śpieszy się jeszcze bardziej: za kwadrans dwunasta, kwadrans po, wpół do pierwszej.

Nagle turkot. Przed gmach zajeżdża bryczka w parę koni, wyskakują 3 młodych oficerów, z brzękiem i szczękiem wchodzi do hallu. Wychodzę naprzeciw (byłe nie dopuścić do piwnic). Są zaskoczeni, że w środku pustego, wymarłego miasta znajdują cywila, i to Polaka.

— Pracujecie tu jeszcze?

— Tak.

— Ten gmach ma być spalony, przyszliśmy obejrzyć.

Cierpnę. Sztywnieję. Więc — już. Prowadzę ich na górę i do magazynu. Widząc siedem pięter i kilometry korytarzy nie kryją zdumienia.

— Ależ tego nie wywieziecie.

— Wywieziemy tylko najcenniejsze druki, najstarsze.

Po chwili:

— Chcielibyśmy wziąć coś na pamiątkę, przecież wszystkiego się nie wywiezie.

— Naturalnie. Co panów interesuje?

Po chwili jeden:

— Może jakieś romanse francuskie?

— Wątpię czy się znajdują, to przecież biblioteka naukowa.

— Jak to, wszystkie siedem pięter?

Chodzą z niedowierzaniem, wydobywają książki na chybił trafił. Jesteśmy na III piętrze. Tu niemal same druki łacińskie, XVI i XVII wiek. Zniechęceni rozkładają się po korytarzach. A tu minuta po minucie leci. Nie mogę ich dopuścić do swobodnego krążenia. Przypominają mi się ostatnie, wojenne już nabytki: prowadzę ich na V piętro, do katalogu. Wkrótce wynajdują pięć grubych tomów rozpraw strategicznych Clausewitza, Moltkego, Hindenburga z mapami i załącznikami. Są zachwyceni; dołączam najmłodszemu ilustrowany, oprawny tom nowel Maupassanta po francusku. Wszystko na dobrej drodze. Tylko minuty biegają i biegają. Za kwadrans pierwsza.

Nagle, nie wiadomo skąd, w pustce zaczynają padać strzały: karabinowe, armatnie, salwy broni maszynowej, jakieś detonacje gwałtowne blisko, wszystko wre — nalot. Moi oficerowie ze zjeżonymi włosami wołają ku mnie — do schronu, prędzej do schronu. A ja właśnie tam ich poprowadzić nie mogę — za nic. Właśnie tam — nie mogę. Tymczasem tuż nad dachem przelatują klekoczące myśliwce radzieckie. Pędzę w korytarz. Niemcy za mną, zawracam, kluczę, ale lecę; dopadam schodów; przeskakując po trzy, cztery, przeganiają mnie. Już lecą do piwnic, zawracam ich w bok, „nie tu, nie tu”. Resztki szyb lecą. Wbiegamy do wypożyczalni, stamtąd do hallu. Kanonada, jak nagle się zapaliła, nagle gaśnie. Słysząc jeszcze pojedyncze strzały od placu Zbawiciela. Zasapani, rozglądamy się. W sieni za filarem przyklejony do muru stoi żołnierz-furman trzymając lejce koni depczących przed drzwiami. Oficerowie powoli, ostrożnie wychodzą, rozglądając się (najmłodszy zapomniał Maupassanta, ale już nie chce wracać), wreszcie odjeżdżają. Zbiegam pędem do piwnic zmarznięty zewnątrz (byłem bez palta), ale rozdygotany od gorączki pośpiechu. Jeszcze parę cegieł od góry i mur stanie.

Nagle — trąbka samochodu przed gmachem. Co do diabła właśnie dzisiaj? To ciężarówka przyjechała już po nas. Wypadam wściekły — jest za pięć pierwsza. Przecież auto miało przyjść w drodze powrotnej z Narodowej o drugiej.

— Ale mnie wyszło inaczej — odpowiada szofer Niemiec — zresztą dziś jest święto i wracam wcześniej.

Mówię po niemiecku wolno i koślawo, ale wtedy kłamię jak berlińczyk.

— Nie ruszę się wcześniej. Muszę skończyć robotę. Przeszkadzacie w pracy. Stanę do raportu do generała.

Moja pasja spotyka się z pasją Niemca, kłócimy się ząb za ząb, ale zaczynam przemagać. Wreszcie krzyczę:

— Jeden człowiek i „Begleiter” poszli, bez nich i tak nie pojadę. Zrozumiano? Szofer odpowiada z wściekłością:

— Dobrze, jadę na Rakowiecką, będę tu za 30 minut, ale wtedy nie czekam sekundy — i jedzie wściekły.

Wracam. Tuż po pierwszej kuśtykając przychodzi Bohdan, fiołkowy na twarzy z białymi plackami od mrozu, z mosiężną esowatą lampą pod pachą. Za nim siny, twardy od zimna żołnierz dźwiga z dumą okropny pozłacany żyrandol z pięcioma malowanymi kłoszami.

— Aż na Kruczą wyprowadziłem szelmę, żeby prędko nie wrócił — mruczy Korzeniewski.

Sadzamy Niemca do ciepłej piwnicy, dostaje kielbasę i wódkę. Teraz się na pewno nie ruszy.

Bohdan całą zakumulowaną energię rzuca teraz do pracy. Murarz już zamazuje mokrą ścianę wapnem — ale trzeba to wszystko ukryć. Komenda przechodzi w ręce reżysera-teatrologa. Holujemy cztery szafy z II piętra do lochu, zsuwają się po schodach, koziołkują na podestach, półki wypadają, nogi odlatują —

prędzej, prędzej. Największa (skrupulatny murarz odmierzył jej szerokość), która ma swymi plecami zasłonić wilgotną plamę muru — więźnie w wąskich drewnianych schodach do piwnicy. Ciach siekierą w poręcz schodów — droga wolna. Szafa zjeżdża na dół, trzy pozostałe obudowują resztę ścian. Kotniewicz bretnalami zbija ze sobą boki szaf, żeby nie było można ich rozsunąć. Aby skrytka z zejściem do pustych szaf nie wyglądała sztucznie — znosimy na półki stare woluminy, ktoś zniósł kilkanaście pudeł katalogu działowego. (Jeszcze w rok później nie mógł mi tego darować systematyczny Kossonoga.) Korzeniewski, obserwując z przekrzywioną głową efekt swej roboty, rozsypywał na podłogę stare gazety, deptał je nogami, tworzył sztuczny naturalny nieład (i ukrywał plamy wapna na schodach i na ziemi). Przyglądaliśmy się chwilę dziełu i rzuciliśmy się sobie w ramiona; ściskaliśmy się wszyscy po kolei mocno. Robota była zrobiona dobrze. Siedemdziesiąt tysięcy najważniejszych dzieł naukowych będzie gotowych na otwarcie Uniwersytetu.

Po chwili na sygnał auta biegliśmy wkładając po drodze palta; Niemiec już ładował na platformę swoją lampę.

Kiedy mijaliśmy samochodem Chłodną, spojrzałem na spalony jednopiętrowy dom pod kolumnami, gdzie urodziłem się i tyle lat przeżyłem, gdzie żył i pracował, i umarł mój dziadek, żył, pracował i umarł mój ojciec, dom z czarnymi dziurami okien, ze zwalonym gzymsem — bezwiednie zrobiłem ruch ręką jakbym mówił: „zrobiono”.

Było mroźne, ostre, słoneczne popołudnie, jechaliśmy po robocie podnieceni, skrzepieni, pogodni. Jutro święto; zamykał się jakiś rozdział. Wiedziałem, że już nie mogę tu wrócić do końca wojny — bądź co bądź złamałem kategoryczny zakaz władz i zamurowałem najbezpieczniejszy schron. Całą winę mieli ewentualnie zwalić na mnie. Bohdan obejmował faktyczną komendę. Myśl nastawiona tylko na BUW odchyłała się na Skierniewice, do rodziny. Tam o 70 kilometrów czekają na mnie niespokojni, nie wiedzą od 3 tygodni, co ze mną na tym „półfroncie”.

A jutro — wigilia Bożego Narodzenia.